# Powrót z Kazachstanu

Franceska Michalska

**Marek Klecel** *(Warszawa)*

Wśród licznych świadectw o deportacjach Polaków na Wschód w

głąb Rosji wspomnienia Franceski Michalskiej, zawarte w niewielkiej książce pod zaskakującym tytułem „Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce”, wyróżniają się dość odrębnym tonem i sposobem przedstawienia tych straszliwych często przeżyć podczas aresztowań, wysiedleń i pobytów w obozach. Zostały one spisane po dłuższym czasie jako rezultat życiowych przemyśleń, zachowując tym samym pewien refleksyjny dystans do opisywanych wydarzeń.

Autorka pochodzi z Wołynia, z tej jego części, która po Traktacie Ryskim w 1921 roku znalazła się po stronie sowieckiej. Miliony Polaków na Kresach zostały wtedy pozostawione radzieckiej władzy. Rodzina autorki po klęsce wielkiego głodu na Ukrainie na początku lat 30. została wywieziona do Kazachstanu jeszcze przed wojną w roku 1936. Ci, co przeżyli głód, byli represjonowani, wywożeni do łagrów, rozstrzeliwani. Wymierały całe wsie, a jednocześnie zakładano kołchozy.

> Władza ogłosiła wkrótce – pisze autorka – że osiągnięto całkowitą, dobrowolną i powszechną kolektywizację.Nie było już „jednoliczników”. Wszyscy pracowali w kołchozie.

Rodzicom autorki zabrano gospodarstwo, co oznaczało rychłą deportację na Wschód. Trafiła do Kazachstanu, mając 13 lat. Transport okolicznych mieszkańców przez Wołgę i Ural trwał

trzy tygodnie. Wysiedli w pustym stepie, tam, gdzie skończyły się szyny kolejowe. Komendant transportu powiedział im: „zdieś budietie gorod stroit”.

Jak podaje Tomasz Bohun w posłowiu do książki, do Kazachstanu wywieziono w 1936 roku prawie 36 tysięcy Polaków, z czego ponad 12 tysięcy dzieci:

> Część osiedlano w istniejących już sowchozach, jednak z reguły osadzano ich na pustkowiach, gdzie musieli zaczynać od zera. Za sprawą tych ludzi powstało 37 nowych wsi. Szacuje się, że w latach 1926-1939 liczba Polaków na radzieckiej Ukrainie zmniejszyła się – w wyniku egzekucji, deportacji, głodu – o 120 tysięcy i w końcu lat 30. wynosiła 357,7 tysiąca osób.

Podczas klęski wielkiego głodu na początku lat 30. zginęło na Ukrainie około 3 milionów ludzi. Wiadomo, że dochodziło wtedy do sytuacji straszliwych i makabrycznych,

> do aktów kanibalizmu i nekrofagii – pisze Tomasz Bohun. Zwykle dramat rozgrywał się w łonie rodziny lub grupy sąsiedzkiej, kiedy dogorywające albo martwe dzieci zjadali rodzice czy krewni. Działały też wyspecjalizowane szajki,

> które przekazywały zwłoki (wcześniej z reguły mordując ludzi) do swoistych masarni, które po przetworzeniu dostarczały makabryczny towar na targi, a nawet zaopatrywały w niego restauracje.

W Kazachstanie zesłańcy byli nowoczesnymi niewolnikami w obozach bez ścian i drutów, ograniczonych tylko całkowicie wolną, niezmierzoną, nie do przebycia przestrzenią. Mieli budować osady dla siebie i Kraju Rad. Ci, co przeżyli głód i mróz, budowali lepianki z brył błota i trzciny w środku bezkresnego stepu, zaludniali i uprawiali pustynię. Po pierwszej epidemii zapadali na głodowy szkorbut, czyli cyngę i kurzą ślepotę. Kobiety umierały przy porodach, aż przestały rodzić. Mężczyźni próbowali beznadziejnych ucieczek. Autorka zaczęła chodzić do szkoły do odległej wsi. Kiedyś omal nie zamarzła, wracając do domu. Brat, który rzucił kałamarzem w portret Stalina, pojechał na dziesięć lat zsyłki do kopalń Magadanu.

Dzięki nieludzkim wysiłkom w ciągu kilku lat przetrwali największy głód i najtrudniejszy, udany w rezultacie, okres zasiedlenia egzotycznej ziemi. Zaczęli dostawać wiadomości z rodzinnych stron na Wołyniu. Były to jednak najczęściej wieści o nowych aresztowaniach i wywózkach. Z trudem udało się autorce jako przymusowo osiedlonej zapisać do szkoły felczerskiej, na co musiała uzyskać zgodę NKWD. Po wybuchu

„wielkiej wojny ojczyźnianej” w 1941 roku udało się jej też wydostać z Kazachstanu na dalsze studia medyczne. Przez Nowosybirsk i Omsk trafiła do Ałma-Aty, gdzie zapisała się do Instytutu Medycznego. Wkrótce jednak wyrusza dalej, do Charkowa zrujnowanego wojną. Na zimę dostaje mieszkanie bez okien. Nie ma papieru do robienia notatek, dostępne są tylko dzieła Stalina, na tyle jednak wygodne, że można pisać między linijkami druku. Koleżance, która uszyła sobie sukienkę z materiału znalezionego w lesie wytoczono śledztwo. NKWD podejrzewało ją o przechowywanie desantu spadochroniarzy.

W poszukiwaniu lepszych warunków autorka przenosi się do Czerniowiec, już na granicy rumuńskiej. Stale myśli o powrocie do Polski. Koniec wojny nie oznacza możliwości powrotu, jest już bowiem obywatelem sowieckim. Tylko dzięki różnym zabiegom, wcale nie dyplomatycznym, uzyskuje zgodę, czyli odpowiednie papiery, na repatriację.

Przed wyjazdem do Polski odwiedza jeszcze swą wieś na Wołyniu i dom rodzinny zajęty przez kołchoz, ogląda zrujnowane gospodarstwo. Nie może wejść do domu, bo w głównej izbie zamknięto niebezpiecznego buhaja, którego wszyscy się boją. Przyjeżdża do Polski i na pierwszej stacji kupuje sobie mydło i bułkę z szynką. Jest zaskoczona, że można kupić więcej, nieomal wszystko „skolko ugodno”. Dziwi się, że do dalszej podróży potrzebny jest tylko bilet, a nie specjalne dokumenty. Ale tak

dobrze było tylko po wojnie. Polska miała się stać również sowiecka, taka, jak kraj, z którego autorka uciekała. Z trudem więc udało się jej skończyć studia medyczne we Wrocławiu, była bowiem podejrzliwie traktowana przez nowe władze komunistyczne jako repatriantka, uciekinierka ze Wschodu.

Jej podróż do Polski trwała dziesięć lat i zajęła większą część jej dzieciństwa i młodości. Może powiedzieć, że ta podróż skończyła się naprawdę szczęśliwie. Radość, o której wspomina w tytule swych wspomnień, wynika w tym wypadku nie z odbywania samej podróży, lecz z jej zakończenia, radość z kresu podróży. Radość wynikająca z cudu ocalenia, bo wielokrotnie uszła z życiem, które inni tracili. Była w tym innym świecie, z którego wrócili nieliczni. Swe wspomnienia z tamtego świata napisała już z innej perspektywy całego późniejszego życia, zostały przefiltrowane przez upływający czas, dlatego może są skrótowe i powściągliwe. A jednak przez tę oszczędność tym bardziej wstrząsające w swych szczegółach i obrazach, w sytuacjach które mogą oddać choć część prawdy o tak nieludzkim świecie. Pozostają w pamięci jak widma czegoś nierzeczywistego, o czym wiemy jednak, że się zdarzyło, pozostają jak cienie ludzi, którzy to wszystko przeżyli, ale, być może, sami już nie bardzo wierzą, jak to wszystko było możliwe.

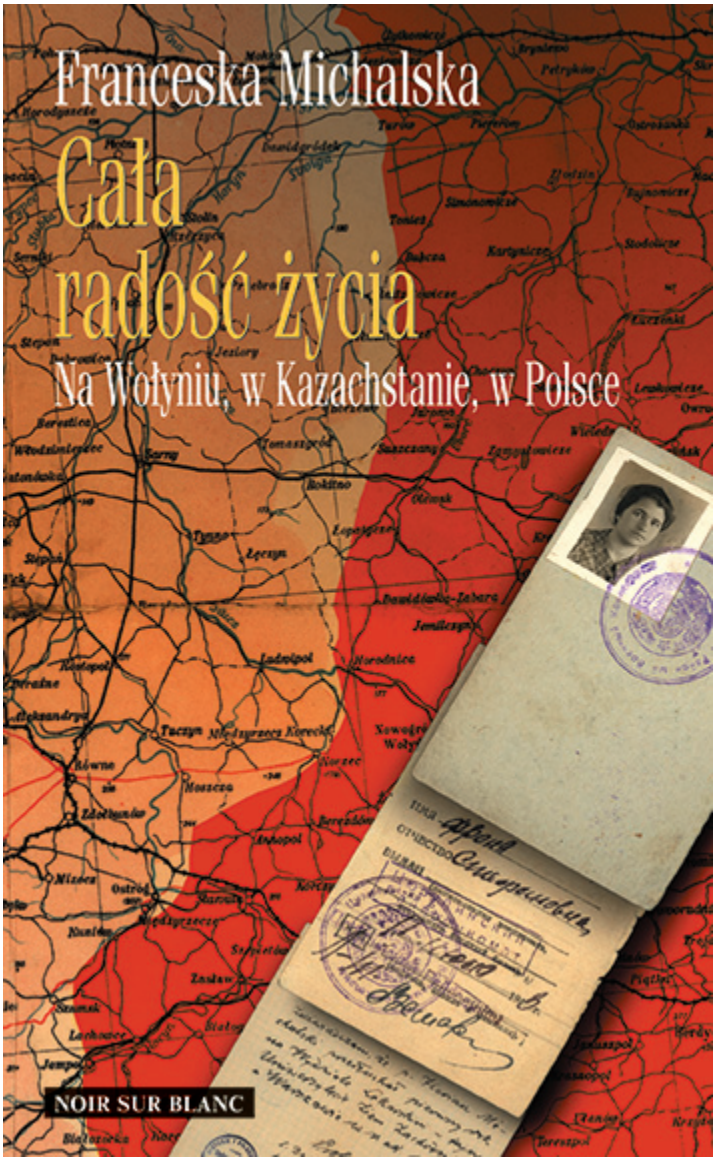


*Franceska Michalska, Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce. Wspomnienia, Noir sur Blanc, Warszawa 2007.*

---

**Marek Klecel** doktor nauk humanistycznych, historyk, wykładowca literatury polskiej XX wieku na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, publicysta,

wydawca, redaktor.

**Franceska Michalska** (ur. 10 sierpnia 1923 w Kamieńcu Podolskim, zm. 29 listopada 2016 w Siemiatyczach) – polski lekarz pediatra i pisarka.

Rodzice Franceski – Waśkowscy – prowadzili gospodarstwo rolne na Wołyniu, we wsi Maraczówka. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, w wyniku podpisania traktatu ryskiego wieś znalazła się kilkanaście kilometrów na wschód od granicy II Rzeczypospolitej.

W 1936 r. rodzina została przymusowo przesiedlona do Kazachstanu. Na rok przed wybuchem II wojny światowej dostała się do trzyletniej szkoły felczerskiej w Pietropawłowsku, którą ukończyła w przyspieszonym tempie, a następnie została wysłana do jednego ze szpitali polowych Armii Czerwonej, skąd po krótkim czasie została przeniesiona do pracy w domu dziecka. W 1941 r. zdała egzaminy wstępne do Instytutu Medycznego w Ałma-Acie, skąd przeniosła się do Charkowa, a następnie do Czerniowiec, cały czas kontynuując studia medyczne. Po zakończeniu II wojny światowej uzyskała (nie do końca legalnie) status polskiego repatrianta i została skierowana do Wrocławia, gdzie kontynuowała studia na tamtejszej Akademii Medycznej. Absolutorium na tej uczelni uzyskała w 1949 r., a dyplom lekarza w 1950.

Po studiach nakazem pracy została skierowana do Kłodzka, gdzie pracowała wraz z mężem w miejscowym szpitalu w latach 1951–1954; urodziła w tym czasie troje dzieci. W 1955 r. zdecydowała się przenieść z całą rodziną do Siemiatycz, do szpitala powiatowego im. dr Józefa Brudzińskiego. W 1956 r. w Instytucie Doskonalenia Kadr Lekarskich w Warszawie uzyskała specjalizację I stopnia z pediatrii. Specjalizację drugiego stopnia otrzymała w 1966 r. Od tego roku do 1985 pełniła funkcję ordynatora oddziału dziecięcego w szpitalu w Siemiatyczach.

W 1991 r., będąc już na emeryturze, Franceska Michalska zaczęła spisywać swoje wspomnienia. Wydała je początkowo w formie dwóch artykułów prasowych w „Życiu Warszawy". W trakcie śmiertelnej choroby jej syna Jana, który wyemigrował do Szwajcarii, aby pocieszyć jego córki, a swoje wnuczki, zaczęła spisywać wspomnienia w bardziej obszernej formie. W 2007 r. wspomnienia te w formie książkowej zostały opublikowane przez Oficynę Literacką *Noir sur Blanc*. W 2008 r. książka znalazła się w finałowej siódemce nominowanych do literackiej nagrody COGITO. Książka ta została przetłumaczona i wydana w 2009 r. we Francji. *(Wikipedia)*

# Zajsan u stóp Ałtaju

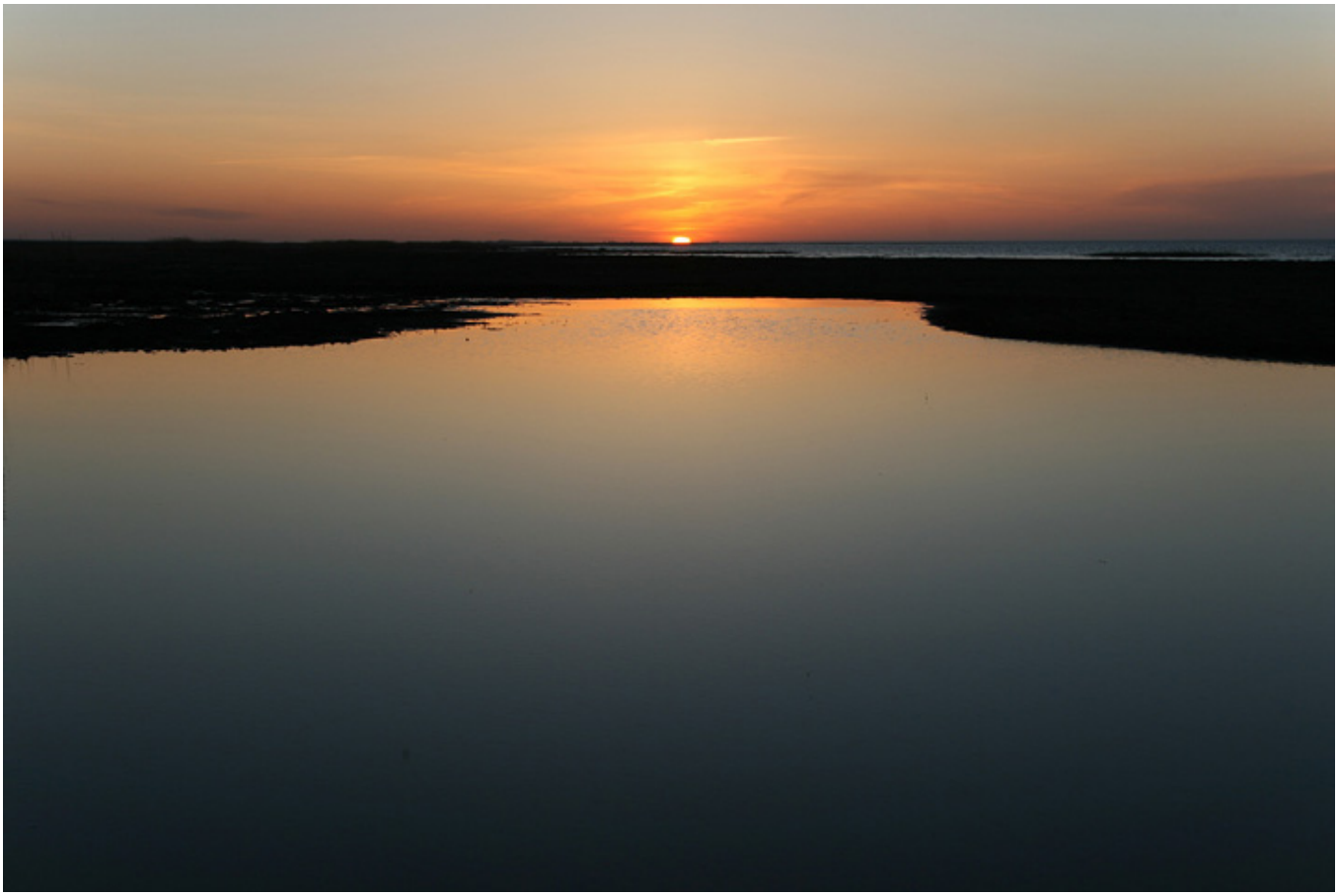

Jezioro Zajsan, fot. Dmitry A. Mottl, wikipedia.

**Aleksandra Ziółkowska-Boehm**

Syberia była domem małżonków Bronisławy z Szemiotów i Modesta Iljinów aż do roku 1922 roku. Mieszkali w Dżungarji, w miasteczku Zajsan wtopionym w góry Ałtaju. 13 grudnia 1918

roku urodziło się trzecie dziecko – Wiktoria zwana Wiką. (Była to późniejsza sanitariuszka Wojskowej Służby Kobiet w Powstaniu Warszawskim, późniejsza artystka rzeźbiarka).

Gdy pytam Kaję o obrazy dzieciństwa, odpowiada mi, że swoje dzieciństwo wspomina jak piękną bajkę. Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę. Z jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Ałtaju, z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dżminiejką. Dalej przechodziło się przez nieduży drewniany mostek i idąc w prawo, dochodziło do młyna, przy którym rzeka była przegrodzona kamienną tamą tworząc dość głębokie rozlewisko, w którym można było pływać. Przy letnich upałach dochodzących do 50 stopni Celsjusza, kąpiel w rzece sprawiała szczególną rozkosz. Nad brzegami rzeki, rosły różnorodne krzewy, dzikie róże, głóg, darnina. U stóp Ałtaju, za mostkiem, rozciągał się step, i tam gdzieś, ale nie wiadomo było gdzie, przebiegała granica między Rosją i Chinami. Step wyglądał dość jednostajnie, dopiero bliżej miasta rosły drzewa topoli, jarzębiny i czeremchy. Kwitnąca wiosną na biało czeremcha odurzała mocnym, przyjemnym zapachem. Niezwykle też pachniała lukrecja o słodko-mdłych korzeniach, przysmaku dzieci, które uwielbiały je wysysać. Lukrecja była znana od dawna w Chinach, Egipcie, Grecji, jak i w starożytnym Rzymie, wierzono, że jej korzeń posiada moc magiczną, używana też była jako roślina lecznicza.

Iljinowie mieszkali w dużym otynkowanym domu z płaskim dachem. Przez ogród przepływał aryk, specjalny kanalik (te kanaliki obsługiwały wszystkie domy w Zajsanie) o pionowych ścianach i płaskim dnie, którym płynęła źródlana woda z gór. Służyła do picia domownikom i wspierała całe gospodarstwo, a było ono rozległe. Obszerne podwórze otaczały zabudowania gospodarcze. W obejściu były trzy wielbłądy – baktriany, osobno dwa konie, krowy, owce z charakterystycznymi dla tych regionów kurdiukami. Kurdiuk – to był taki jakby worek z tyłu owcy, jak garb u wielbłąda. Gdy owca jest chuda, zwisa z tyłu, gdy na jesieni jest tłuściutka, kurdiuk wypełnia się i przedłuża poziomo tułów o mniej więcej czterdzieści centymetrów. Były też świnie i wielkie wieprze, a także mnóstwo drobiu, indyki i kury.

Wielbłądy były dwugarbne, w wielkich worach zwanymi jukami dowoziły węgiel z „własnej kopalni". Kopalnia była odkrywkowa, stanowiła niewielkie wybierzysko podstemplowane na stromych, ale dostępnych zboczach Ałtaju. Nie było głębokie, gdy trzeba było stemplować głębiej, po prostu przenosiło się w inne miejsca. Kopalni doglądał Polak, inżynier górnik pan Napieraj. Poza węglem były kopalnie odkrywkowe grafitu, który służył do wymiany z Chińczykami między innymi na tkaniny, cukier, papier i zapałki. Napierajowie oprócz domku w Zajsanie – mieli także drugi niewielki domek, niedaleko kopalni, do którego przenosili się na lato. Stał on na wzgórzu nad strumieniem, stąd rozciągała się wielka dolina – step oparty o pionowo spadające potężne

zbocze Ałtaju. W tym miejscu koczowniczy Kirgizi ze swoimi wielbłądami i stadem owiec rozbijali auł, miał on niewiele jurt, może siedem, może dziesięć. Wkoło były konie, wielbłądy i owce.

Bronisława Iljin często odwiedzała państwa Napierajów w ich letnim domku i zwykle zostawiała u nich Kaję. Napierajowie bardzo ją polubili, a ona zaś lubiła być w coraz to w innym miejscu. Pamięta, gdy Kirgizi rozbili auł, ich małe dzieci biegały dookoła nago. Kaja często uciekała z samotnego domku państwa Napierajów na dół do aułu, a później za ich przyzwoleniem, nocowała u Kirgizów w jurcie na wojłoku, piła wielbłądzie mleko, jak i mleczny napój musujący zwany kumysem. Kirgizi częstowali pyszną herbatą w pięknych „kasieszkach" (były to filiżanki z chińskiej porcelany bez ucha trzymane za denko). Herbata mocna i wonna, nie brakowało jej dla nikogo, była lekko osolona i zaprawiana baranim tłuszczem. W kieszeniach trzymali bursaki, które często podgryzali. Bursaki były to kawałeczki ciasta krojone z cieniutkiego długiego ruloniku, zrobione z osolonej mąki z wodą i smażone w baranim tłuszczu. Kirigizi, prości i mądrzy ludzie, byli bardzo życzliwi i troszczyli się o dzieci. Podarowali Kai dwa niewielkie białe orły, które odleciały, gdy podrosły. Nie wie skąd były te orły, ale pamięta, że mogła je dotknąć i pozwalały się głaskać.

Wielbłądy po przywiezieniu węgla odpoczywały na podwórzu przy przybudówce domu, na której płaskim glinianym dachu Kaja

budowała domek dla lalek. Wykazała przy tym niemałą determinację i pomysłowość. W pudełkach po zapałkach suszyła cegiełki z gliny, i właśnie z nich zbudowała gliniany domek.

Wielbłądy były wysokie, a przybudówka niższa od domu, więc lubiły wsuwać na nią głowy. Kaja chcąc się z nimi bawić, czasami drażniła je gałązką po chrapach, a one w odpowiedzi, poirytowane, opluwały ją. Dokuczali sobie nawzajem tak długo, aż albo Kai, albo wielbłądom, się znudziło. Na ogół były łagodne i posłuszne, klękały, gdy się na nie wsiadało, kroczyły majestatycznie lekko się kołysząc. Mała Kaja jeździła na wszystkim, na czym się dało, na baranie, który tego nie lubił, na osiołku, bo był i osiołek, a także jeździła na świni. (…)

W dalekiej dolinie mieszkał w domu z zawieszoną nad tą doliną werandą stary człowiek – pszczelarz. Kaja jeździła tam konno ścieżką wśród wysokich gór z matką po miód. Nie pamięta pasieki i nie wiedziała, czy pszczelarz miał ule, czy też zbierał z barci w lesie, bo w tym rejonie był już las, ale miód zawsze był gotowy. Matka jechała na swoim gniadym koniku, który czasami był zaprzęgany do wozu lub zimą do sań. Zwykle koń bardzo tego nie lubił, skakał wtedy przez rowy w stepie zrzucając powożącego. Jeśli to była Mama, to wiedział o tym, zatrzymywał się, i był jej posłuszny. Właściwie nikt poza nią nie mógł na tym gniadym koniu jeździć.

Kaja jeździła przeważnie na oklep na wielkim starym karym koniu, którego grzbiet był wygodny i szeroki jak kanapa. Wygodniej było jeździć na wielbłądzie siedząc między dwoma garbami. Najczęściej jeździło się jednak konno lub bryczką, zimą saniami. Wielbłądy były zajęte wożeniem węgla.

W domu obok pokoju dziennego, dwóch pokoi rodziców, osobnych Kai, jej brata i siostry, był także pokój Jefrosinji Fiodorowej. Była ona Rosjanką – „białą uciekinierką" zadomowioną w rodzinie Iljinów. Pochodziła spod Petersburga i była kiedyś żoną carskiego oficera. Bronisława przyjęła ją do domu i Jefrosinja zajmowała się gospodarstwem. Całymi dniami przebywała w olbrzymiej kuchni, z której prowadziły drzwi w różne miejsca, na przykład do przybudówki, która służyła jako letnia spiżarnia. Stały w niej słoje z konfiturami, wiadra pełne jakichś marynat, worki z kaszą i pszenną mąką (bo żyta tam nie było), wisiały pęta kiełbas i szynki. W domu był także specjalny duży pokój służący jako spiżarnia zimowa. Stały w nim wielkie beczki z kiszoną kapustą i niedużymi arbuzami. Na hakach wisiały całe połacie świń, baranów, zimą polewane wodą, zamrożone. Kolejne drzwi z kuchni prowadziły do łazienki nazywanej umywalnią.

Na środku wielkiego podwórza był „kierat", przymocowane do koła drągi, które obracał koń. Drągi miały na końcu zawieszone siedziska dla dzieci. Na taką jazdę na kieracie schodziły się

dzieci z okolic. W tymże miejscu na środku podwórza zimą budowano górę lodową do zjeżdżania dla dzieci sankami, z wydrążonym wnętrzem i schodkami na szczyt.

Na podwórzu, w głębi, stał niewielki dom, w którym mieszkała „chaziajka". Nikt nie wiedział, dlaczego tak się właśnie ją nazywało, i Kaja nie wie, czy może była to właścicielka wynajmowanego przez rodzinę domu. Co dziwne, nikt jej nie widział, a wieści krążyły, że była bez nogi. Dzieci nie chodziły w tamtą stronę i mały domek omijały z daleka.

Ojciec Kai pracował jako buchalter, a matka udzielała się wśród polskiej społeczności, na przykład zorganizowała Koło Polaków i została jego przewodniczącą. Miała dużo obowiązków, między innymi zajęła się organizowaniem pomocy tym Polakom, którzy około 1921 roku uciekali przed docierającym na te tereny bolszewikami. Przerzuty odbywały się przez pustynię Gobi na wschód do Chin. Kaja pamięta, że na drogę szykowano suchary, suszono mięso. Kiedyś naszykowany suchy prowiant leżał na otwartym oknie w kuchni i zjadł go koń, który także był przysposabiany do drogi, bo uciekinierzy wyjeżdżali konno. Pamięta, że przesuwano termin wyjazdu i były z tym jakieś kłopoty.

W miasteczku mieszkało wiele polskich rodzin i wszyscy starannie pielęgnowali święta i polskie tradycje. Polska była

daleko i była niemal mitem dla wszystkich dorosłych. Dzieci żyły własnym życiem, którego obraz po latach nabierze jeszcze większego uroku. W tym wieku Kaja nie znała pojęcia ojczyzny, niewoli, i niewiele się zastanawiała nad rodzinną opowieścią, że ojciec kiedyś był zesłańcem na Sybir. Dzieciństwo odbiera się wprost, jako otoczenie i ludzie, którzy nas otaczają. Kaja pamięta, że jako małą dziewczynkę interesowała ją głównie przyroda, zwierzęta i żyła z nimi w dużej symbiozie.

W mieście Barnauł po przyjeździe z Białegostoku zamieszkała matka Bronisławy, Elżbieta z Kuderskich Szemiotowa, zwana przez wszystkich Babunią, a także jej inne córki: Jadwiga (po mężu Białecka), Felicja, Konstancja, Józefa (która już wcześniej przeniosła się tam z Orenburga), i Waleria. Wszystkie ciotki były pracowite i przedsiębiorcze i dobrze sobie radziły. Kaja pamięta wspólne z ciotkami pływanie łódką po rzece Ob. Były zwykle dość uszczypliwe i mała dziewczynka nie lgnęła do nich. (…)

W młynie przy rzece Dżyminiejka mieszkała dziewczynka, starsza od Kai, dobrze ułożona i grzeczna. Była po jakiejś chorobie i dziergała dużo na drutach zachęcając ją także do tego zajęcia. Kaja zaś żadnych robótek kobiecych nie lubiła, nie miała koleżanek i ich towarzystwa unikała. Wolała z gromadą chłopaków biegać po polach, pływać w rzece lub pędzić w step. Wyrywali rosnącą na pagórkach w stepie wspomnianą lukrecję, której słodkie korzenie bardzo wszystkim smakowały i były dla

dzieci jak cukierki.

Lubiła też biec ścieżkami w góry, gdzie w najwyższych partiach stały kozice bez ruchu, zanim je nie spłoszono. Wyglądały jak białe nieruchome rzeźby przyczepione do małych wystających skałek. Na dróżce często pojawiały się węże, wielkie, wygrzewające się w słońcu, lub niżej, wskakujące, a właściwie wślizgujące się z chlupotem do rzeki. Chłopcy często je zabijali, o ile nie dało się ich ominąć na ścieżce.

Nie lubiła lalek. Pamięta, że szyło się je w domu, ale twarze miały ze skośnymi oczami, bo tylko takie maseczki przywozili Chińczycy, którzy przyjeżdżali do Zajsanu na handel, przywożąc między innymi główki do lalek. (…)

Widok na rzekę Ob w okolicach miasta Barnauł.

Barnauł był ładnym miastem o ciekawej architekturze. Położony wzdłuż jednej z największych rosyjskich rzek Ob, założony w 1730 roku jako osada, gdzie wydobywano srebro. Kopalnia srebra nadała mu specjalny status i szybko się rozwinął. W 1917 roku miasto liczyło już 70 tysięcy mieszkańców, i wciąż się rozwijało. Rok później połowa miasta została zniszczona przez ogień i potem pozostała część została zniszczona przez rewolucję. W 1940 roku Barnauł zaczął ponownie się rozwijać, kiedy wiele firm przeniosło się w te rejony, aby uniknąć niemieckiej inwazji.

Zapamiętany obraz z wizyty u Babuni i ciotek w Barnaule: wieczór w Klubie Polskim. Panie ubrane w długie suknie, pięknie pachnące perfumami, jest „polski wieczór", ma być teatr, będą deklamować także dzieci. Scena jest starannie udekorowana, dużo kwiatów i zieleni, lampiony. Kaja ma deklamować wiersz Adama Mickiewicza "Powrót taty". Jest na scenie, ale kurtyna jeszcze nie podniesiona. Dziewczynka nie wytrzymuje napięcia i zaczyna mówić:

> Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
>
> Za miasto, pod słup na wzgórek,
>
> Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,

> Pobożnie zmówcie paciórek.
>
> Tato nie wraca; ranki i wieczory
>
> We łzach go czekam i trwodze;
>
> Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
>
> I pełno zbójców na drodze.

Mama przerywa – „Nie teraz. Zaczniesz, gdy podniosą kurtynę…”. Kurtyna idzie do góry, a Kaja z płaczem ucieka ze sceny.

Pamięta, jak na placu w miasteczku Zajsan, gdy przyszli tam bolszewicy, był słup wysmarowany chyba mydłem, a na jego czubku zawieszono parę butów. Buty były wtedy dużym skarbem, a miał je zdobyć ten, który wejdzie po śliskim słupie na sam czubek i je zdejmie. Amatorzy ześlizgiwali się już z połowy wysokości, i chyba nikt tych butów nie zdobył.

W miasteczku nie było sklepów, kwitł wspomniany wyżej handel wymienny z Chińczykami, którzy brali grafit w zamian za cukier

w tzw. głowach. Cukier wtedy był sprzedawany jako jednolita bryła wysokości około 50 centymetrów w kształcie stożka o ściętym wierzchołku i średnicy na dole około 25 centymetrów, w górze 15 centymetrów. Łamało się go specjalnymi młoteczkami lub szczypcami, a kawałki wielkości mniej więcej naszych obecnych kostek cukru – ale różnych kształtów – podawało się wraz ze szczypczykami do brania już w cukiernicach, przy samowarze.

Wszystko robiło się własnym „przemysłem i pomysłem". W każdym polskim domu wykonywało się coś na użytek innych. Pod samymi górami Ałtaju mieszkała wdowa z dwiema dorosłymi córkami. Robiły kapelusze i szyły strojne suknie. Zdarzało się, że wszystkie Polki latem chodziły w różowych sukienkach, bo bela materiału przywieziona przez Chińczyka była akurat różowa. Bronisława Iljin dla wszystkich znajomych dzieci robiła sandałki. Piastun dzieci, stary Kirgiz, wytłaczał z wielbłądziej lub owczej wełny walonki na zimę, wojłokowe buty do kolan. U państwa Guzów była zaś tłocznia oleju, który tłoczyło się z maku.

Aby tłoczyć olej, latem jechało się w kilka wozów, niczym cygańskich, okrytych na pałąkach brezentem chroniąc przed upałem, który dochodził + 50 stopni Celsjusza. Jechało się z pościelą, samowarem i garami na odległe pola zasiewane przez Chińczyków makiem. Zabierało się ze sobą prowiant, bo jechało się na kilka dni lub na cały tydzień, aż gdzieś do niedalekiej

granicy z Chinami.

Chińczycy zasiewali makiem całe połacie ziemi, która była niczyja. Gdy makówki były zielone, nacinali je nożykami, a gdy występujący w nacięciach sok tężał i nabierał koloru brunatnego, zbierali go nożykami. To było opium. Ziemi było tyle, że pola z makiem pozostawiano i siało się każdego roku w innym miejscu. Mak dojrzewał i wtedy wyprawy organizowali Polacy.

Rozbijało się obóz, gotowało potrawy, spało pod gołym niebem na matach. Całe dnie odbywało się zrywanie i rozcinanie makówek i zsypywanie maku do worków. Wieczorem zasiadało się dookoła ogniska z rożnem, na którym piekł się baran i łuskało się mak do worków. Olbrzymi księżyc o jakimś kolorze żółto-zielonym, wzbijał się coraz wyżej, i była taka cisza, że słychać było szelest ziarenek maku obijającego się o makówki, gdy rodzinny kot Macio, którego także zabierano, chodząc po zagonach potrącał łodygi maku. Po powrocie do miasta u państwa Guzów w tłoczni wyciskało się olej, a wielkie krążki makuchy służyły do karmienia zwierząt.

Góry Ałtaj w Kazachstanie, fot. wikipedia.

Przygotowania do srogiej syberyjskiej zimy były różnorodne. Na przykład, biło się świnie i barany. Wielkie wianki suszonej kiełbasy i wędzonych szynek zapełniały spiżarnię. Duże beczki pełne jagód, żurawiny, marmolady, pastiły, a nawet beczułki z masłem ustawiało się rzędem w spiżarni w domu. Na zewnątrz w stodole pełno było zboża i siana, do składzików zwożono zapasy węgla i kiziaku. [Kiziak – to były okrągłe wielkie „placki" stłoczone z nawozu krowiego lub końskiego, które służyły na podpałkę].

W domu zimą  było zawsze ciepło. Kirgiz – piastun palił w piecach i zabawiał dzieci „pożarami aułu". Jeden z pieców ogrzewający pokój dzienny i jednocześnie pokój Kai, miał wielkie palenisko od strony sieni. Na brzegu tego paleniska Kirgiz

ustawiał zrobione z papieru małe jurty, i zawsze któraś z iskier wywoływała pożar. Dzieci spędzały z nim wiele wieczorów. Szczególnie po powrocie z zabaw na zewnątrz, gdzie zimą mróz sięgał -40 stopni Celsjusza, chętnie siedziało się w domu. Piastun snuł różne opowieści, nie wszystkie dzieci rozumiały, ale atmosfera tych opowiadanych historyjek była zwykle tajemnicza.

Na Boże Narodzenie w dużym pokoju ustawiało się drzewko topoli. Okoliczne góry nie były porośnięte iglastymi drzewami, dopiero dużo dalej, w niedostępnej zimą dolinie, rosły świerki i jodły. Święta przy topoli, która o tej porze roku miała już lepkie dość duże pąki, były obchodzone uroczyście i z zachowaniem wszelkiej tradycji. Drzewko było ubrane wycinanymi przez Ojca papierowymi konikami, ptakami, lepionymi przez dzieci kolorowymi łańcuchami, z aniołem na czubku, piernikami i orzechami zawieszonymi w siateczkach zrobionych z bibułki. Drzewko obłożone płatami waty imitującej śnieg błyszczało migając dziesiątkami świeczek z Chin. Prezenty dla dziewczynek to były wspominane wcześniej skośnookie lalki szyte ze szmatek z  główkami z celulozy. Były też wycinanki ojca, który miał duże zdolności plastyczne i potrafił dzieci obdarowywać pięknymi wytworami z papieru. Ojciec obdarzony pięknym głosem śpiewał kolędy. Stół był nakryty białym obrusem, pod nim leżało siano. Na stole na talerzyku był domowej roboty, wypiekany w domu cieniutki opłatek. I obowiązywało trzynaście potraw. Ryby sprowadzano łowione z odległego Irtysza i niedalekiego,

oddalonego o około czterdzieści kilometrów jeziora Zajsan. Były faszerowane, smażone, królowały szczupaki i bieługa w galarecie. Były też karasie i inne jesiotrowate. Była zupa grzybowa z uszkami, kutia, łamańce, kisiele, kompoty i torty Mamy. Bronisława wypiekała wspaniale torty biszkoptowy, orzechowy i inne z dodatkami miodu i maku.

Na co dzień atmosfera w domu była zdrowa ludzi czynnych, życzliwych sobie. Ojciec był zazwyczaj spokojny i łagodny. Kaja nie pamięta, by mówił ostrym czy podniesionym głosem. Matka zaś była energiczna, czynna i zwykle w dobrym humorze. Kaja nie pamięta żadnych pieszczot ani wielkich serdeczności. Traktowano dzieci jak dorosłych, serio, życzliwie, obowiązywała prawda, odpowiedzialność i posłuszeństwo. Nie było także żadnych uciążliwych ograniczeń. Dzieci były uczone samodzielności i obowiązkowości.

Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt nie wiedział gdzie zaginęła, poszukiwania trwały wiele godzin. Dziewczynkę szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce około trzech kilometrów od domu stary Piastun, Kirgiz schodzący z gór.

„Co tutaj robisz?” zapytał.

„Idę zobaczyć szeroki świat”, odpowiedziała.

Ta rezolutna odpowiedź dziewczynki była chętnie powtarzaną opowieścią przez wszystkich członków rodziny.

Kaja starsza od Wiki o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu, były wciąż dziecinne, a starszych nie pociągały takie wyprawy, jak po wspomniane korzenie lukrecji. (…)

Jesienią cała rodziną Iljinowie wyjeżdżali na pasznię. Było to pole, gdzie rosły arbuzy i dynie i o ile Kaja dobrze pamięta – pszenica. Żyta nie uprawiano i Bronisława tęskniła za żytnim pieczywem. Rosły za to właśnie olbrzymie melony i arbuzy. Melony były soczyste, słodkie i wonne. Arbuzy się soliło i kisiło, podobnie jak kapustę, mniejsze  dodawało się do kiszącej w beczkach kapusty. Z paszni przywoziło się już dojrzale arbuzy i dynie. Sprawdzało się dojrzałość owoców w ten sposób, że nacinało się i wyjmowało trójkątny stożek, patrzyło, czy był czerwony i gotowy do spożycia. Gdy owoce były wciąż niedojrzale, wkładało się wycięty trójkąt z powrotem i zrastał się on z całością. Dopiero przy zbiorach można było dostrzec jakby pozostawioną bliznę.

Pasznie były nawadniane rowami z wodą ze źródeł górskich. Deszczy latem nie było. Kaja nie pamięta, czy wśród warzyw koło domu były ogórki, ale na pewno były pomidory. Z jagód i owoców

pamięta poziomki i uruk, słodki owoc wielkości dużego włoskiego orzecha i renglody z dużą pestką i bardzo słodkim miąższem. Jadło się je zwykle podsuszone jak rodzynki.

Mama robiła przetwory z poziomek, a z owoców dzikiej róży tzw. pastiłę. Była to gęsta marmolada, smarowana na płasko na arkuszach papieru lub deskach grubości około dwóch centymetrów, którą suszyło się na płaskim glinianym dachu, by potem zdejmować całe arkusze tego przetworu i kroić w kostkę – były pyszne jak cukierki. Dzieci łasowały w spiżarni i z rulonów pastiły urywały kawałki, co było o wiele smaczniejsze niż krojona kostka. Nigdy już w życiu nie spotkała takich owoców, jak w Zajsanie. (…)

Polaków z Sybiru łączyły wydarzenia historyczne, surowy klimat i niełatwa codzienność. Stawali się twardzi i zahartowani na niedole i braki, a także wrażliwi i otwarci na wszelkie nieszczęście innych. Ponoć Sybiracy, to ludzie wielkiego serca i honoru, którzy mają w sobie potrzebę i gotowość niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Na Syberii podróżni, pokrzywdzeni i głodujący spotkają się z uprzejmością i pomocą w myśl zasady – dzisiaj w biedzie ty, jutro mogę być ja.

Kaja z Ałtaju wyniosła zaufanie do ludzi, poczucie bezpieczeństwa, pełnię swobody. Zapamiętała, że wszyscy wkoło byli uczciwi, życzliwi, pomocni w potrzebie. Nie było

zamkniętych domów, żadnych nawet zamków pod klamkami. Co za luksus żyć bez kluczy i zamków. Domy były otwarte jak jurty, tylko wewnątrz gdzie nie gdzie „zaszczepki” (dzisiejsze haczyki). Duży dom w Zajsanie także nie miał zamków, drzwi zamykało się na klamki. Pierwsze kradzieże przyszły z rewolucją, która w okolice Zajsana dotarła z końcem 1921 roku.

Po latach Kaja powie, że okres dzieciństwa wydaje jej się szczególnie beztroski i szczęśliwy. Czas upływał radośnie, a swoboda i przestrzeń kształtowały charakter. Tak było do wspomnianego wyżej 1921 roku, kiedy do Dżungarii dotarł bolszewizm.

Kaja pamięta, że gdy kiedyś przejeżdżali przez mostek na rowie w stepie zobaczyła siedzącego pod nim nieżywego Chińczyka z oskalpowaną głowę. Widok był straszny! Był to sygnał, że bolszewicy są wkoło, bo oni właśnie tak „polowali” na Chińczyków.

Polacy wiedzieli, że muszą uciekać. W domu od jakiegoś czasu organizowano konne przerzuty mężczyzn przez pustynie Gobi na wschód. Gdy przyszli bolszewicy zaczęli wyłapywać ludzi, zaczęły się przesłuchania. W domach polskich urządzano jakieś mityngi. Rodzina z Barnaułu – Babunia i ciotki – wróciły do Polski wcześniej i zamieszkały w Białymstoku. Mieszkająca w dalekim Zajsanie pięcioosobowa rodzina Ilijnów z najmłodszą czteroletnią

Wiką żyła dalej normalnym trybem, ale zaczęli oficjalne starania o powrót do Polski. Formalności było dużo i długo trwało ich załatwianie. Przygotowywali się do wyjazdu starannie robiąc zapasy na drogę. Gdy wszystko było gotowe, wyruszyli w wielką, wręcz koszmarną podróż trwającą prawie rok.

**Fragment książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża, wyd. Muza, Warszawa 2006.**

---

*Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża":*

http://www.cultureave.com/kaja-od-radoslawa-czyli--historia-hubalowego-krzyza/